№ 29.

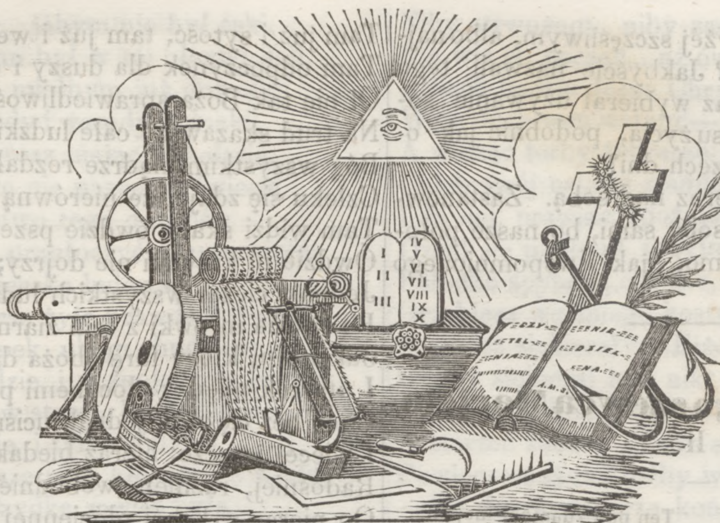
Warszawa

Dnia 8 (20) Lipca

1856.

Niedziela

10ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Użycz nam, prosimy Panie! ducha, któryby zawsze chciał i czynił, co tylko jest pewnego, abyśmy, którzy bez Ciebie żyć nie możemy, we wszystkiem posłuszni byli. (Modlitwa kościelna na niedzielę 10tą po świątkach).

Dobre lub złe użycie czasu.

Pewnemu człowiekowi zostawiają do wyboru przez trzy dni: *albo* biesiadować, próżnować, dogadzać wszystkim zmysłom, i używać co mu się tylko podoba; *albo* zachować we wszystkiém wstrzemięźliwość, pracować i nawet po części cierpięć. Lecz po owych trzech dniach ma nastąpić dwadzieścia lat, przez które w pierwszym razie, tojest, po próżnowaniu, dogadzaniu wszystkim zmysłom, i czynieniu, co się podoba, będzie musiał ten człowiek doznawać wszelkiego niedostatku i przykrych cierpień; w drugim zaś razie, tojest po przeżyciu trzech dni w pracy, wstrzemięźliwości i cierpieniu, doznawać będzie wszelkiéj obfitości i szczęścia.

Jakże ten człowiek ma sobie postąpić, tojest, jak użyć dozwolonego sobie krótko wymierzonego czasu? Cóżbyście o nim mówili, gdyby sobie wybrał pierwsze używanie, tojest, wszystkim zmysłom i próżności dogadzające? Zdaje się, że przy zdrowych zmysłach tegoby się nie dopuścił.

A jeżeliby temu człowiekowi zostawiono podobny warunek przeżycia trzech dni albo jednym, albo drugim sposobem, lecz potém już nie dwadzieścia, nie trzydzieści lat, ale dwieście, lub trzysta lat będzie żył takim sposobem, jak pierwéj o dwudziestu latach zapowiedziano. Jakże ten człowiek ma teraz postąpić, tojest, co sobie wybrać? Cobyście o nim powiedzieli, gdyby znowu używanie wymierzonych mu trzech dni wybrał sobie podług pierwszego sposobu? Zdaje się, że przy zdrowym rozsądku, żadnym sposobem nie powinienby sobie wybrać krótko trwałéj uciechy, za którą następuje długie cierpienie.

A jeżeli temu człowiekowi mówią: wolno ci żyć już nie przez trzy dni, lecz przez całe twoje życie, jak ci się podoba, tojest, albo próżnować, pozwalać sobie rozkoszy, dopuszczać się złego, chociaż stróż wszystkich czynów i myśli twoich, sumienie o tem złem ostrzegać cię będzie; albo żyć wstrzemięźliwie, pracować, kochać rodziców, bliźnich i Boga Stwórcę nas wszystkich i wszystkich rzeczy; lecz po życiu tém być, nie już przez dwieście lub trzysta lat, lecz przez nieskończone wieki wieków, tojest przez całą

wieczność, albo najwyżéj szczęśliwym, albo najwyżéj nieszczęśliwym? Jakbyście nazwali tego człowieka, gdyby teraz wybierał używanie sobie pozwolonego czasu życia, podobnie jak owych pozwolonych trzech dni?

Zastanówcież się teraz nad sobą. Zastanówmy się wszyscy nad sobą sami, bo nasze położenie jest takie samo, jak i wspomnionego człowieka.

Gawędy starego szewca Macieja.

II.

—

Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.

„Dobrze ksiądz mowił: fraszka wielkie mienie,
Grunt: szczera praca i czyste sumienie.“
Tak prawił Maciej, wróciwszy z kościoła,
I z swą czeladką zasiadłszy do stoła.
„Dobry dostatek, szczęśliwi bogaci,
Że hojniéj mogą podźwignąć współbraci,
Obfitszéj Bogu dostarczyć ofiary;
Lecz miłe Niebu i ubogich dary,
Bo tu nie ilość, a serce stanowi,
I najcenniejszy serdeczny grosz wdowi.
Z serca ku bliźnim spieszmy się z pomocą,
Choćby z szelążkiem, choćby z ziarnkiem zboża,
A dar nasz mały, cudowną wszechmocą
W stokroć rozmnoży święta łaska Boża,
Jak te dwie rybki w ręku Zbawiciela,
Któremi rzesze do syta obdziela.
Głupi więc skarbów bliźniemu zazdrości,
Mądry sam rzuca światowe marności,
A gdy książęta i bogacze świata,
Szukając Nieba, składają z ochotą
Świetną purpurę i koronę złotą,
W nędzy i w trudzie pędząc długie lata,
Aby się zrównać z ubogą prostotą;
Snać ubożuchnym najbliżéj do Nieba.
Z pokorą tylko los swój przyjąć trzeba,
A podziękować Bogu, co nam w darze
Daje tę dolę, która nam podwoje
Raju otwiera, za którą Mocarze
Znoszą mu skarby i korony swoje!
A i to mienie, wiecież wy, co znaczy?
Znacież wy szczęście mniemane bogaczy?
Czyż się wam zdaje: gdzie pyszne komnaty,
Kędy strój świetny, kędy stół bogaty
I próżnowanie ciągłe, jak w niedzielę;
Tam już i sytość, tam już i wesele,
Tam odpoczynek dla duszy i ciała?
O! nie tak Boża sprawiedliwość dała.
Na trud skazawszy całe ludzkie plemie,
Bóg wszystkim mądrze rozdał ciężkie brzemie.
Człeku się zdaje, że nierówną miarką:
Tam widzi skałę, ówdzie pszenne ziarnko,
Ówdzie ni krzynki nie dojrzy; a przecie
Jednaki ciężar wszystkich ludzi gniecie.
Bo równa mrówki z tem ziarnkiem fatyga,
Jak wołu, który furę zboża dźwiga;
I ptaszek między złoconemi pręty,
Choć bez ciężaru, jednak uciśnięty.
I więcéj jeszcze: nieraz biedakowi
Radośniéj, raźniéj, swobodniéj i zdrowiéj.
On nieraz w lichéj płóciennéj kapocie
Wytrwa bezpiecznie na mrozie i słocie;
A bogacz, futrem sobolém okryty,
Złapie ból ciężki przez okno karéty.
Biedak, śpiewając, zmiata chleb razowy,
Szczęsny, gdy ma czem posolić ziemniaki;
Bogacza znudzą zamorskie przysmaki,
I nie nasyci głodu stół cukrowy.
Na twardéj ziemi, z kułakiem pod głowę,
Biedak snem krzepi siły spracowane;
A bogacz, ległszy na łoże puchowe,
Nieraz przeklina noce nieprzespane.
A i to praca — niech się wam nie zdawa,
Że zawsze tylko ma pracować ręka;
Ejże! i w głowie bywa praca krwawa,
Co stokroć więcéj nad wszelki trud znęka!
Boć to nietylko ciału kęsa chleba,
Duszy téż strawy duchowéj potrzeba;
A łatwiéj pługiem zaorać zagony
I w chleb pożywny zmienić czyste zboże,
Niż z serca dobyć święte słowo Boże,
Aby nakarmić głodne dusz miljony.
Łatwiéj pilnować obrotów maszyny,
Gdzie każde kółko ma stałe swe ruchy,
Niżli ster wziąwszy rozległéj krainy,
Trzymać na wodzy złych chuci wybuchy,
I odpowiadać przed Bogiem na Niebie,
Za wielu bliźnich srożéj, niż za siebie.
Są też i tacy, co ręką, ni głową
Pracy nie dźwigną, syci i okryci,
Im życie zdaje się chwilką godową.
Bajki! ta rozkosz rychło ich przesyci,
Rychło się gwarne przebiorą zabawy,
A nieraz huczna uczta jednéj nocy
W stokroć ich cięższéj pogrąży niemocy,
Niż całodzienny biedaka trud krwawy.

Darmo to mówić: „jabym nie był taki,
Jabym szczęśliwym był w téj błogiéj doli,
Jabym, to mając, miałbym już dowoli;“
Bo człowiek zawżdy i wszędy jednaki,
A kto nie syty, grosz mając w kalecie,
Ten się już niczem nie nasyci w świecie.
Żywemi wzory łatwo tego dowieść;
Lecz wolę prostą przytoczyć przypowieść:
Stara to tylko bajeczka ludowa,
Lecz w bajce nieraz żyje prawda zdrowa.
Był sobie chłopek, ubogi chudzina;
W chłodzie i głodzie, i w znoju, i w trudzie
Dni swoje pędził w staréj, lichéj budzie;
Lecz żył poczciwie, i tylko jedyna
Słabość mu w duszę niby kleszcz się wpiła,
A tą słabością brzydka zawiść była.
Raz zimą, lichym okryty kożuszkiem,
Ruszył do lasu, wlekąc *samotużkiem* (1)
Małe saneczki, aby do opału
Nałamać chrustu, nazbierać powału.
Ciężka robota! szron padł na gałęzi,
Łomy na ziemi śnieg głęboki więzi;
Stęka nieborak i chucha w kułaki.
Bo ręce krzepną, choć pot z czoła płynie.
Żeby przynajmniéj choć toporek jaki
(Bo i siekiery zabrakło chudzinie!)
Żeby choć jedna szkapa do tych sanek!...
I myślał sobie: szczęśliwi sąsiedzi!
Ot choćby Bartek, albo rudy Janek,
Co w białej chacie, jak w pałacu siedzi,
W spichlerzu pełne ma zawsze zasieki,
Sześć wołów w pługu, trzy krowy w oborze,
Owiec pół kopy, kopę pni pasieki,
A jeszcze nie syt!... O Boże mój, Boże!
Gdyby mnie tyle!... gdyby choć w téj porze
Topór do ręki i szkapa do sani;
Byłbym szczęśliwy! wstając i legając
Bogabym chwalił za te Jego dary!
Ledwie pomyślił, aż między szuwary
Coś zaczeleści, niby przemknął zając,
Niby wilk czmychnął... spojrzy, alić stary
Dziad jakiś wyszedł z sosnowéj gęstwiny.
Niby to żebrak z odzieży, lecz z miny,
Z poważnéj twarzy i brody srebrzystéj
I ze źrenicy jasnéj, promienistéj,
I ze słodkiego uśmiechu na ustach,
Jakby ten święty, co go na odpustach
Widuje w wiejskim kościołku w obrazie,
Swięty Mikołaj... Kmieć biedny na razie,
Niby strwożony, niby zadziwiony,
Nie wie co począć... aż ów go pozdrowi:
„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“
Więc duch weń wstąpi;— na wieki!— powiada,
A widząc torby żebracze u dziada,
Chleb swój ostatni złamie po połowie
I da mu, prawiąc: spożyjcie na zdrowie.
Dziad się pokłonił przyjmując z podzięką,
I słodko spytał: „cóż tak, dobry człecze
Grzebiesz we śniegu kostniejącą ręką?
A gdzież siekiera?“ —Ejże, chłop odrzecze
Gdyby siekiera! lecz nikt darmo nie da,
A kupić trudno, gdyż w chałupie bieda.
A starzec znowu: „I tak samociągiem
Powleczesz sanki? tożby wprządz konika...“
—Ej! drogie zwierzę koń dla chałupnika,
Co się nie spotka i z lichym szelągiem!
Gdyby mnie konia, gdyby mnie toporka,
Wszystkoby zaraz poszło mi inaczéj;
I chleb-by zajrzał do chaty biedaczéj,
I grosik czasem kapnąłby do worka.
„To szczęśćże Boże!“ rzekł starzec, i zniknął,
Jakby rumianą rozpłynął się zorzą....
Spojrzał kmieć wkoło, i z radości krzyknął,
I na twarz upadł, wielbiąc łaskę Bożą.
W sanki wprzężony stał koniczek młody,
A na nich wbita siekiera do kłody,
Więc się przeżegnał, i pełen ochoty
Żwawo się zabrał do swojéj roboty,
I rychło w sanki nawaliwszy łomu,
Z wesołą myślą w kłus ruszył do domu.
Radośćże była w chacie chałupnika
I z téj siekiery, i z tego konika!
Wszystkim otuchy przybyło we dwoje,
Żwawsza robota i milsze im znoje,
Ochoczo biedny chłopek gospodarzy,
A codzień jakiś zarobek się zdarzy,
To od siekiery, to znów od podwody;
I choć nie gody, ale już nie głody.
Tak zeszła zima. Nasz kmiotek powoli
Jakoś już przywykł do swéj szczęsnéj doli,
I już ma z konia pociechy zamało,
Jużby się wołów, jużby owiec chciało,
I nowéj chaty i nowéj stodoły!....
Więc po staremu stęka na mozoły,
Więc po staremu wyrzeka i biada,
Zawistny szczęściu swojego sąsiada.
Aż raz znów w lesie z ciężką furą drzewa,
Kiedy mu szkapa nieboga omdlewa,
Nie mogąc dźwignąć, a on, pełen złości,
Wali, aż skóra odstaje od kości,

(1) Sam ciągnąć.

I gorzko płacze, skarżąc się na losy;
Znowu się zjawi starzec siwowłosy,
Bogiem pozdrowi i słodko się spyta:
„Cóż ci to znowu tak srodze doskwiera?
Wszak jest i szkapa, i ostra siekiera...“
A kmieć go wzajem ukłonem powita,
I drapiąc głowę, rzecze skłopotany:
Jestci, a zawsze stara bieda gniecie!
W chacie od wiatru już się chwieją ściany,
Ledwie koszula trzyma się na grzbiecie;
Człek wciąż *haruje*, z potu nie osycha;
A z głodu ginie! Cóżto za wspomoga,
Jedna siekiera, jedna szkapa licha?
Gdybym już sobie wyprosił u Boga,
Choć tyle dobra, co ma Janek rudy;
Do śmierci byłbym rad już i szczęśliwy.
„Szczęśćże Wam Boże!“ rzekł starzec jak wprzódy,
I zniknął. Spojrzy kmieć wkoło, o dziwy!
Do wozu cztery zaprzężone woły,
Zdrowe i krzepkie, wóz nowy, kowany,
Aż miło spojrzeć! Więc uradowany,
Uwielbia Boga i święte anioły,
I ciągnie do dom. A tu nowe cuda!
Patrzy, nie wierzy, żegna się... czy złuda,
Czy jakie czary?... Nowa chata stoi
Wkoło stodoły, obory, spichlerze,
Podwórko licznym dobytkiem się roi...
Stanął zdumiony... radość i strach bierze...
Chybaż zabłądził? chybaż go tak *wodzi*?...
Aż tu w ulicę kobieta wychodzi,
I dziatwa, za nią biegnąc, w ręce klaska:
„Tatku! cud stał się! święta Boża łaska!“
Więc się rozpłakał z wdzięczności ku Bogu,
I z dziękczynieniem kląkł na chaty progu.
I żył szczęśliwy w téj zagrodzie nowéj
Przez całą wiosnę, — i znów płakał w lecie,
Znowu go troska, jak przedtém przygniecie,
I znowu starca spotka śród dąbrowy.
„Czegóż ci braknie? — spyta dziadek siwy,
Tożeś do śmierci miał z tem być szczęśliwy.“
—Ej! gdzie tam szczęście! — kmiotek mu odpowie,
Kiedy tak wiele kłopotów na głowie?
Siła dobytku, siła pracy w niwie,
Człek się, jak może, krząta zabiegliwie,
A sam wszystkiemu nie zawsze poradzi,
Więc trza posługi, trza wielkiéj czeladzi,
Więc i grosz płynie, więc i ziarno płynie,
Raz wraz z spichlerza czerpaj i ze skrzyni,
Dawaj i dawaj każdemu bez miary,
I jakoś marnie idą Boże dary;
Niby ich więcéj, a zliczyć dokładnie,
Z rachuby tylko trud większy wypadnie,
A stara bieda! A tu i od Pana
Więcéj ucisku, wciąż nowe nakazy;
I odkąd w chacie zaszła niby zmiana,
Człek musi robić już więcéj dwa razy:
I z pługiem w pole, i z koniem na gońca,
I to, i owo, — słowem niema końca!
A i ekonom nie folguje zgoła!
Tak, że człek daléj już wytrwać nie zdoła.
I choć tam ludzie zawistni i chciwi,
Wrzeszczą by głupi: szczęśliwi! szczęśliwi!....
Gorzkiemi łzami zlewam ja swą dolę,
I mam tak biadać, to już umrzeć wolę!
—Czegóż ci trzeba?— starzec znowu pyta.
„Czego mi trzeba?... dusza nie łakoma,
Okruchą Bożéj łaski będzie syta...
Ot niechby wzięli mię na ekonoma,
Tobym już w szczęściu dożył swego wieku.“
—Szczęść-że ci Boże, poczciwy człowieku!
Rzekł dziad i zniknął.
Kmieć powrócił doma,
Alić go wzywa Pan na ekonoma.
Radość więc nowa. Z nachajką u pasa;
Na dzielnym żrebcu już po łanach hasa;
Kędy się zwinie, biją mu pokłony,
A on, jak indyk, dmie się napuszony,
Huka i świszcze, i dziko się sroży,
Bez miłosierdzia katując lud Boży.
Znoszą mu grzyby, i jaja, i kury,
Masło i sery, i miód, i jagody;
A on, jak wilczek żarłoczny śród trzody,
Biedne ludziska odziera ze skóry.
I żył w tem szczęściu caluteńkie lato,
Aż znów zapłakał... Dostatnio, bogato,
A szczęścia niema! I znów po zwyczaju,
Napotkał starca siwego śród gaju.
„Czegóż ci trzeba? — ten znowu go bada,
Masz czegoś pragnął, a dusza nierada.“
—Ej ciężka dola! — ekonom odpowie,
Na psiéj téj służbie człek nie ma spokoju;
Przy pańskiéj pracy, w kłopocie i znoju,
Daremnie traci i siły i zdrowie,
Odbiegłszy chaty i dzieci, i żony!
Przed panem ciągle kark zgina pokorny,
Słucha łajania; a tu chłop niesforny
Wciąż się zuchwali i klnie rozjuszony!
Gorzkiemi łzami zlewam ja swą dolę,
I mam tak biadać, to już umrzeć wolę!
—„Czegóż ci trzeba? — znowu dziad zapyta,

Jakim cię można uszczęśliwić stanem?“
— Ot gdybym raz już został wielkim panem,
Toby do śmierci dusza była syta.
„Szczęśćże ci Boże!“ rzekł starzec, i znika.
Spojrzy ekonom, aż zamiast konika,
Śliczna karoca z dzielnemi rumaki
I sługi strojne w galonowe fraki,
I sam atłasem, sajetą okryty.
Lecz się nie dziwi. Wskoczył do karety,
I ruszył cwałem; a po małéj chwili,
Przez jakiś dotąd nieznany gościniec,
Wjechał na wielki zamkowy dziedziniec,
Z pałacu rojem słudzy wyskoczyli,
I popod ręce, przez pyszne balkony,
Wiedli z paradą do dzieci i żony,
Strojnych, jak jakie książęta, wspaniale.
Tu rznie od ucha niemiecka kapela,
Na stole jadła w złocie i krysztale,
Pełno przepychu, blasku i wesela;
Wszystkiego dosyć, czego dusza łaknie;
Ptasiego mleka chyba tylko braknie.
Dzień cały minął jak bankiet wesoły,
Minął i tydzień, jak jedna godzina;
Dźwięczy muzyka, dymią smaczne stoły,
Leją się strugi i miodu, i wina,
Szczęśliwy człowiek! Pan, pan gębą całą!..
Ale powoli szczęście się przebrało;
Nadeszła zima, z nią nastał płacz nowy,
Nowa tęsknota, nowe wyrzekanie.
I raz, z strzelcami ruszywszy na łowy,
Gdy od drużyny daleko odstanie,
Znowu dziadusia spotka śród dąbrowy.
Dziad stanął w chwili, gdy siedząc na kłodzie,
Pan nasz wyrzekał na okrutne losy.
Dzień cały spędził na wietrze i chłodzie,
Wróbla nie widząc! Hukał w niebogłosy,
Trąbił i strzelał, by zwołać swe strzelce,
Wszystko naprożno! A więc gniewny wielce,
Szemrał na ludzi i na Boga w niebie;
I z czarną myślą w téj ciężkiéj potrzebie,
Całą swą dolę już ochydził sobie,
I aż zapłakał w serdecznéj żałobie!
Więc starzec pyta: „cóż cię znowu boli?
Tożeś nie pragnął już szczęśliwszéj doli
Nad ten byt pański, którym Bóg cię darzy...
— To mi to szczęście! — bogacz nasz odpowie,
Z goryczą w głosie i niechęcią w twarzy,
Jeśli tak wszyscy mają żyć Panowie,
To jużbym wolał dawny byt nędzarzy.
Złocone misy i strawa książęca,
A nic to jakoś człeka nie przynęca,
I czego nie ma, tego się zachciewa!
Jest za co kupić, grosz leci jak plewa,
A dostać trudno w téj pustéj krainie!
A nim z daleka sprowadzę, chęć minie!
Wszystko obrzydło! ot powiedzieć krótko,
Z pieprzem nie gorzko i z cukrem nie słodko,
Człek nie pracuje, a wiecznie zmęczony,
I wypoczynku dać sobie nie może!
Darmo się rzuca na puchowe łoże,
Darmo jedwabne wiesza pawilony!...
Albo i dzisiaj: błądzę tu dzień cały,
A gdybyż frunął choćby ptaszek mały,
Gdyby choć myszka przebiegła mi drogę!...
Nie, już tak dłużéj wytrzymać nie mogę,
Gdzieś się powieszę, lub w łeb sobie strzelę!.
— „Czegóż ci trzeba? — pyta dziadek siwy,
Wiele Bóg rozdał, lecz ma jeszcze wiele;
W jakimże stanie mógłbyś być szczęśliwy?“
Więc się zamyślił pan tak zagadnięty;
Bo już sam nie wie, czego pragnąć daléj...
A wreszcie rzecze: — niech ja będę Swięty,
I niechaj cały lud Boży mię chwali;
I niechaj umiem robić wszelkie cuda;
A wtedy szczęścia już będzie mi dosyć,
O nic nikogo nie będę już prosić,
Bo co pomyślę, to wnet mi się uda.
Staruszek smutnie zachwiał głową siwą,
Westchnął i zniknął. Pan spojrzy, o dziwo!
Zamiast rumaka o złocistem siodle,
Stoją te liche saneczki przy jodle,
Które przed rokiem przywlókł *samotużkiem*;
A on sam, starym okryty kożuszkiem,
Zamiast bogatej strzelby za plecami,
Spróchniałą gałąź na ramieniu trzyma!..
Zadrżał ze zgrozy, padł twarzą do ziemi
I w skrusze łzami zapłakał gorzkiemi,
W téj ciężkiéj chwili strasznéj Bożéj kary!..
A kiedy powstał, to wszystkie te dzieje,
Już mu się zdały niby senne mary,
Co łudzą człeka, nim świt rozednieje.
Więc się przeżegnał, chrust zabrał na sanki,
I ruszył zwolna do swojéj lepianki.
Stała na miejscu, jak była przed rokiem;
Żona i dzieci w łachmanach, jak wprzódy...
Więc te bogactwa i te pyszne gody,
Iście snem były, czy jakim urokiem?...
Czy sen, czy urok, czy doprawdy jawa,
Dosyć, że Boża opieka łaskawa,
Swięta przestroga, zbawienna nauka:
Że człek daremnie sobie szczęścia szuka,
Karmiąc swe żądze wiecznie wygłodniałe,

I że ten tylko znajdzie szczęście trwałe,
Ten się ucieszy statecznym pokojem,
Kto Boga chwali przestając na swojém.
Pojął to kmiotek, i w nędznéj swéj budzie
Uczuł się w sercu najszczęśliwszym z ludzi.

Pamiątki starego nauczyciela.

—

Kiedyś, a mianowicie w pierwszym numerze tego pisma, obiecałem opowiedzieć, jakim sposobem zabrałem w Radomiu znajomość z czterema chłopcami, którzy byli przez długi czas codziennymi towarzyszami moich przechadzek za miastem, lub dobrowolnymi słuchaczami onych pogadanek u mnie w mieszkaniu. Otóż raz, jakoś ku jesieni, wyszedłem sobie koło dziesiątéj rano na spacer, i byłem już blizko rogatki, kiedym ujrzał wóz naładowany drzewem, a koło niego chłopa wywijającego batem to po koniu, co ani na krok daléj ruszyć się nie chciał, to po chłopcach, co mu się przedrzeźniali, to z téj, to z owéj strony zabiegając. Co się na konia chłopek zamierzy, to go chłopiec który za rękę targnie, drugi za połę pociągnie, tak że ani im się opędzić. Nadszedłem właśnie na tę chwilę, kiedy chłop zniecierpliwiony popędził za jednym, żeby choć tego dogonić, a przykładnie go ukarać! Nie zdążył jednak, bo go to ten, to ów ztyłu targał za sukmanę, a przytém młode nogi, nie to, co stare już zużyte, Wrócił więc do wozu, a chłopcy tuż za nim. Gdy mię spostrzegli, pozdejmowali czapki, ukłonili się grzecznie, wdałem się więc w rozmowę, a pierwszy chłop zaczął wyrzekać, że tu nieszczęście, koń stanął i ruszyć z miejsca nie chce, że go dosyć już batem naokładał, ale możeby dalsze bicie i poskutkowało, tylko ta oto szarańcza, dodał, wskazując na chłopców, to taka dokutna, prawdziwe trutnie.—Za cóż mu dokuczacie, spytałem najstarszego z nich, rumianego chłopczyka, który mógł mieć ze 14 lat? Jak że to tak napadać na ulicy na spokojnego człowieka, który wam w niczém nie zawinił.—Chłopcy się zarumienili, a najstarszy, jak się późniéj dowiedziałem, Staś, zaczął się uniewinniać, mówiąc: Proszę pana, myśmy szli do szkoły, co oto tu niedaleko, i szliśmy sobie spokojnie, i wcale go nie zaczepialiśmy; ale kiedyśmy się zbliżyli, obaczyliśmy, że on oto tym kijem, cośmy mu odebrali, bije biednego konia bez miłosierdzia, ot niech pan obaczy, skórę mu poździerał sękami.—Spojrzałem, rzeczywiście biedne konisko stało, opuściwszy uszy, całe wynędziałe, że aż kości prawie się przeświecały, nogi miało pokaleczone, a skóra na grzbiecie w wielu miejscach poździerana, świadczyła o prawdzie słów chłopaka.—Otóż, mówił Staś daléj, kilka minut patrzyliśmy na to okrucieństwo, ale potém nie mogliśmy już więcéj wytrzymać, i ja z Adasiem wyrwaliśmy mu kij z ręki, i raz jeden go uderzyliśmy. On się porwał na nas do bata, i ztąd się zaczęło; myśmy uciekali, ale jak tylko on wracał do wozu, to i my za nim, żeby mu niedać pastwić się nad koniem.—Tem usprawiedliwieniem, które potwierdzili i inni chłopcy, całkiem mię sobie zjednali. Jakże więc, powiedziałem do chłopka, toście wy tak niemiłosiernie z koniem się obchodzili?— A cóż! odrzekł, wszakci to koń mój, to mam prawo go bić, kiedy iść nie chce, po swojéj woli.— Ależ przyjacielu, przemówiłem łagodnie, przeładowaliście furę; zapóźnoście pewno wyjechali z domu, więc go popędzaliście, boć się zmęczył i ustał. Dajcie mu wypocząć, rzućcie mu oto siana, co macie na wozie, to i pójdzie.— Gdzie on tam pójdzie? odpowiedział, już to djabeł jakiś wlazł w niego.— Widzicie, rzekłem, u was, to jak się co złego stanie, to zaraz djabeł wlazł, a tymczasem ten djabeł nie w koniu, ale w was samych siedzi. Nie dawaliście dobréj paszy koniowi, a on ma być winien, że schudł, nie przygotowaliście pewno drzewa z wieczora, spędzaliście go to do lasu, to do miasta, a powiadacie, że znarowiony, iść nie chce, wtedy kiedy on iść nie może; furę naładowaliście taką, że na parę koni nie byłaby za małą, a składacie winę na konia, że ciągnąć sił nie ma.— E! panie, odpowie, toć przecie nie pierwszyzna, zawsześmy taką ładowali.

Widzicie, powiedziałem wam, toć sami przeciw sobie świadczycie, ładowaliście zawsze, to też ciągnął, póki mógł, póki był młodszym i silniejszym; przecież ciągnąłby i teraz, a biciem swojem to mu i resztki sił odbieracie. Dajcie mu wypocząć, a pójdzie niezawodnie.—Nie mam ja czasu czekać, aż wypocznie, na rynek się spóźnię, to i drzewa nie sprzedam, powiedział, odwróciwszy się odemnie, a ufny w moję pomoc, że chłopców powstrzymam, wziął się znowu do bata i daléjże po koniu.—O! tego, rzekłem, to

już ja teraz nie dopuszczę; męczenie zwierząt jest prawem zabronione, i mógłbym tu zaraz wezwać tych, coby ci z lichwą oddali to, co ty dajesz koniowi, ale wstrzymam się nateraz i sądzę, że nadal będziesz rozsądniejszym, tymczasem żeby biedne zwierzę od twego okrucieństwa zasłonić, sam tę furę kupuję. Ileż chcecie za nią.—Chłopek się popatrzył, zdjął czapkę, — a, proszę jegomości, to dwa ruble warto za taką furę?— Dobrze, masz pieniądze, ale niech tu koń wypocznie; ja za godzinę będę wracał, to ci wskażę miejsce, gdzie mi to drzewo zawieziesz, tylko pamiętaj nadal, nad zwierzęciem się nie pastw, a karm go dobrze, to i tobie będzie lepiéj. I cobyś ty mówił, gdyby ci pan kazał pracować nad siły, i karał cię za to, żeś roboty nie odrobił; jakbyś to ty złorzeczył a przeklinał! tak samo i z koniem, przecież i on ma czucie, i jego bolą razy. Chciałem mówić mu daléj, ale widocznie nudziły go te nauki, dałem więc pokój, ale zawsze i każdego potem prosiłem, żeby ludowi naszemu ciągle to powtarzali, a od złego obchodzenia się ze zwierzętami odwodzili. I raz i drugi to go znudzi, ale nakoniec przecież się upamięta, a przyjdzie do tego rozumu, że kiedy mu wszyscy mówią to samo, musi to być złem rzeczywiście. Chłopcy słuchali mię z uwagą, ja też do nich się teraz zwróciłem:—a was, powiedziałem, pochwalam, żeście litość nad zwierzęciem uczuli, tylko trzeba było wam kogo ze starszych poprosić, a niejedenby taki się znalazł, coby mu tak jak ja przełożył, a wy to zaraz do bicia. Nikt nie ma prawa sam sobie sprawiedliwości wymierzać, a tem bardziéj karać za występek, nie przeciw niemu popełniony. Chłopcy pospuszczali oczy, poznałem, że nie są to uliczniki, którzy radzi tylko psotę komu wyrządzić, sami szukają zaczepki. Któż jest wasz ojciec? zapytałem.—Ojciec nasz nazywa się, odrzekł Adaś, Borkowski i jest stolarzem, a mieszka oto w tym domu, czerwono pomalowanym.— A wy to do szkoły idziecie?— Ja, odrzekł najstarszy Staś, już nie chodzę, tylko mam coś powiedzieć nauczycielowi od tatula.— O! bo, przerwał Adaś, Staś już wszystko umié, on już nie potrzebuje uczyć się.— To ty wszystko już umiesz, zapytałem Stasia? Ten spuścił oczy, i cichym głosem wyszeptał: — wszystko. No, przyjdę ja tam kiedy na examin, jak się z rodzicami waszemi zapoznam, obaczymy, czy też jeszcze nie zostało co do nauczenia się. Idźcież teraz do szkoły, a w wolnéj chwili zajdę do waszego ojca, żeby się wam bliżéj przypatrzyć. Ukłonili mi się wszyscy, i każdy z nas poszedł w swoję stronę. Sam tylko chłopek pozostał na drodze, dał siana konikowi, który z razu jakby ze zmartwienia, nawet jeść nie chciał; po chwili jednak dał się przeprosić, i zaczął smaczno zajadać. Po powrocie z przechadzki znałazłem go już bardziéj ochoczego; już mi i furę zaciągnął do domu, a kiedy drzewo zrzucono, i wóz skierowano do wyjazdu, pobiegł raźnie, czuł, że to do domu bieży, gdzie choć rozkoszy nie doznawał i często przymierał głodu, zawsze to jednak i bydlę zna swój kącik, i kocha tę stajenkę, w któréj się urodziło, utrzymywało w dobréj i złéj doli.

Ksiądz Jan Czarnocki.

Na obszernych płaszczyznach Podlasia, cztery mile na wschód za Siedlcami, wznosi się miasteczko Sokołów, leżące nad małą rzeczką, Cetynia zwaną. Przy każdéj drodze, co do Sokołowa z różnych miejsc prowadzą, stoi po kilka krzyżów wzniesionych ręką pobożnych jego mieszkańców. W miasteczku są dwa kościoły i cerkiew unicka: jeden parafialny, gdzie odprawia się nabożeństwo z godną naśladowania staranności pod zarządem miejscowego proboszcza, dbałego o chwałę Boską — cerkiew: tam znowu wzorowo sprawia świętą ofiarę godny Dziekan, opiekun nieszczęśliwych. Sgo Rocha drewniany na uboczu stojący kościołek, gdzie lud zakupuje najczęściej nabożeństwa w czasie zarazy, która nieraz nawiedza Sokołów, i osieroca rodziny całe.

W strasznym roku 1855 okropna cholera nawiedziła miasto, i okolice; wymierały prawie wsie całe, ludek strwożony biegł do miasta, napełniał Bożą świątynię, oblegał z płaczem dom lekarza, cisnął się do apteki po lekarstwa, a cmentarz Sokołowski zawalały trumny, których grzebać nie nastarczano, Grabarze bez odpoczynku dzień i noc kopali wielkie doły. Trumna obok trumny czekały pogrzebania, jeszcze przed furtą cmentarną stały wozy z ofiarami śmierci.

Był wtedy w Sokołowie przy kościele ksiądz Jan Czarnocki, wielkich zasług młody kapłan, cnotą, i świętobliwością życia zjednał sobie ser-

ca parafian, którzy go za opiekuna i ojca mieli. Do niego to po radę biegł każdy w strapieniu. A w czasie cholery i któż by to wypowiedział jego wszystkie ofiary! On gdy wstępował w progi dotknięte zarazą, niósł słowo zbawienia i datek w potrzebie.— On dzień i noc bez odpoczynku spowiadał, chodził bez odetchnienia od jednego do drugiego łoża;—a czasem, gdy koni na probostwie zabrakło, gdy i ksiądz proboszcz wyjechał jednać grzesznika z Bogiem, a ten co go wzywał, nie miał czem przysłać po niego, szedł wikary piechotą, spiesząc ochoczo, by nieść konającemu starcowi słowo pokoju, ostatnie, które miał na téj ziemi usłyszeć — młodzieńcowi otwierać szerokie pole przyszłych poza grobem nadziei, — grzesznikowi zakamieniałemu mówić o radości, którą tchnie niebo z powrotu zgubionéj owieczki.— O ileż to razy widzieli go mieszkańcy, rankiem wracającego do miasta, jak blady, wynędzniały trudami, siedział na jednokonnym wózeczku, lub chwiał się na nogach, wracając piechotą! I znowu to uczył ubogie dziatki, to grzebał nędzarzy i wśród ulewy, szedł sam przed trumną, wiodąc ich na wieczny spoczynek, by grób poświęcić, i ręką własną piasku na trumnę nasypać— to znowu spełniał świętą ofiarę lub szedł na kazalnicę nauczać prostaczków. Rozumieli go dobrze ojcowie w siermięgach, i dziatki w zgrzebnych koszulach.

I mąż ten bogobojny, co jako szafarz boży był bez przygany, co taką miłością pałał dla ubogich braci swoich, i tę miłość wpajał w ich serca, przez niezbadane wyroki nieba dotknięty został cholerą. O! cóżto się wtedy działo w ubogiém mieście. Gdy ta smutna nowina rozbiegła, lud gromadnie spieszył na probostwo. Był to ostatni dzień lipca, większa część mieszkańców znajdowała się w polu przy pracy, lecz gdy doszła ich wieść smutna, co prędzej biegli dowiedzieć się o prawdzie, i każdy jak piorunem rażony, stał osłupiały na straszne słowa: „Wikary umiera“. Żydkowie nawet cisnęli się na dziedziniec jego mieszkania, bo ksiądz Wikary zarówno wspierał katolika, lub ubogiego żydka, jako bliźniemu niósł ochoczo wszelką pomoc, każdemu wzywającemu ratunku, wykonywając słowa pisma świętego. Otóż mieszkańcy cisnęli się do drzwi probostwa, do izby, gdzie ksiądz wikary leżał martwy prawie na łożu boleści, a obok niego stał lekarz miejscowy, równy mu cnotą i poświęceniem, i widział z boleścią serca niepodobieństwo ratunku.

O! cóżby on dał wtedy, gdyby go wrócić mógł ubogiéj trzodzie, co łkaniem rozdzierała mu pierś szlachetną i wołała: Ratuj naszego ojca! Nie pomogły łzy, modlitwy, jęki rozpaczy; skonał ksiądz wikary w godzin kilka. Nie żałował on pewno życia, bo umierał przez miłość bliźniego, przez tę świętą miłość, która nam raju wrota otwiera, przez którą skonał Chrystus na krzyżu! Miasto okrył głęboki smutek, parafianie pogrążeni w żalu, zaniechali pracy, każdy siedział w domu ponury, oniemiały, lub szedł na probostwo, by raz jeszcze ujrzeć ojca swego i dobroczyńcę. Leżał on teraz, leżał bez życia, usta jego oniemiały na słowa pociechy, ręce zwisły, martwe na datek chrześciański.— W dzień pogrzebu z miasta i wsi sąsiednich, należących do parafii Sokołowskiéj, zbiegł się ludek ubogi, płacz w kościołku głuszył śpiew kapłana, co sprawiał świętą ofiarę, i głos organów ginął w jęku rozpaczy biednych wdów i sierot. A gdy trumnę w ziemię złożono, rzucili się w dół grobowy za nią jakby chcąc wyrwać znikomości tego co był ojcem i opiekunem. Po pogrzebie niebawem grobowiec ustrojony w różnobarwne kwiaty ręką wdzięcznych parafian, stanął na obszernym cmentarzu. Lecz niedość na tem, za staraniem jednego z zacnych obywateli w pobliżu Sokołowa mieszkającego, co umiał poczciwem sercem ocenić cnotę i poświęcenie wikarego, ma się jego grobowiec ozdobić kamieniem. Daj nam Boże więcéj takich pasterzy dla ubogiéj trzódki, jakim był wikary Czarnocki! —Daj zarówno i takich ludzi, coby umieli prawdziwą uszanować zasługę, i uświęcić jéj pamięć pomnikiem!

Dwa zatém staną na grobie wikarego pomniki: jeden kruszcowy z wyrytym napisem, drugi złożony z łez wdzięczności prostaczków, którego czas nie zniszczy, i niegodne ręce ludzkie nie uszkodzą. Onto w odległą potomność przekaże pamięć sprawiedliwego.

I ty czytelniku! kochaj bliźniego, jak kochał brat wikary, by twą pamięć uczciła potomność, a na grobie wznieśli ci pomnik miłośnicy cnoty!

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 5 (17) Lipca 1856 r.— Starszy cenzor. *F. Sobieszczański.*